



ALEKSANDER BRUCKNER

LEGENDY

O CYRYLU I METODYM

SZKIC Z DZIEJÓW CHRZEŚCJANSTWA
WŚRÓD SŁOWIAN

ARMORYKA

Legendy o Cyrylu i Metodym

wobec prawdy dziejowej.

Szkic z dziejów chrześcijaństwa u Słowian.

Napisal

Aleksander Brückner.



POZNAŃ.

NAKŁADEM TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK POZNAŃSKIEGO.

1904.

Seria: BIBLIOTEKA TRADYCJI SŁOWIAŃSKIEJ Nr 50

Redaktor serii: Andrzej Sarwa

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce: Andrzej Sarwa, *Przejście* (2010)

Copyright © 2017 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-344-4

SPIS RZECZY

—•••••—

1. Legendy o Cyrylu i Metodym wobec prawdy dziejowej. Szkic z dziejów chrześcijaństwa u Słowian. Napisał Aleksander Brückner 1—49



Legendy o Cyrylu i Metodym

wobec prawdy dziejowej.



Szkic z dziejów chrześcijaństwa u Słowian.

Napisał

Aleksander Brückner.



I.

Pracy dziejopisarskiej, odzierającej dawne legendy świętych i podania narodowe z ich uroku i czaru, nie nazywajmy ani świętokradką ani nawet niewdzięczną. Nie niszczy ona bynajmniej samej legendy czy podania; po każdej wiwisekcji pozostają one i nadal czem były: wyrazem ideałów przeszłości czy przyszłości; arka, w której naród, stan czy epoka składają najgłębsze pragnienia, przekonania i nadzieje; alegorya, przez którą przebrzmiewa niby szmer wieków, niby tęsknota za złotymi czasami czy ludźmi. Podania np. o Piaście czy o Przemysle, nie historycznego, żadnej istotnej treści nie zawierają; mimoto pozostaną oba świadectwem ważnem, złożonem u samego progu dziejów czesko-polskich, słowiańskich, o znaczeniu pracy rolniczej, właściwej pracy, tworzącej cuda niewyczerpane; chłopiek Piast bez końca ugaszczający tłumy, przemysłowa opieka i umiejętność rolnicza występują niby symbole całej przyszłej historii oraczy polskich i czeskich — podobnych podań wcale nie tworzyły zaborcze, wojownicze plemiona germańskie; — podanie o kobiecie — Heroinie, o Wandzie, Dobrawce, również znamienne dla Słowian, gdy pogardzona zazwyczaj „baba“ na szczyty heroizmu i poświęcenia, na przekór mężczyznom się wznosi; nigdyby Niemcy o swoich „paniach“ czegoś podobnego nie zmyślili — nie ich kobietom spółzawodniczyć z mężczyznami.

Powtarzamy: dziejopis, odmawiający podaniom aktualności i rzeczywistości, nie narusza przez to wcale ich jądra; odgranicza tylko ściśleją prawdę dziejową od wymysłów wiekami uświęconych a przez to samo znamienych i ważnych, odsyłając je napowrót do dziedziny psychologii historycznej i rasowej, z której wyszły, zaprzeczając im kredyt w obiegu faktycznym, dziejowym, przyznając im natomiast pełną siłę i wagę dla oceny umysłowości i usposobienia rasy czy szczepu. A jak z podaniami, tak samo ma się rzecz nieraz i z legendami, z żywotami świętych.

Wszystkie legendy, jeśli pominiemy ciekawe wymysły heretyckie, np. takie manichejskie i bogomilskie o podwójnym tworzeniu świata, z osobliwszym, dualistycznym poglądem na świat jako dzieło Boga i szatana — legendy otóż zawierają prawdę dziejową, nie są pustym tworem rozbujalej mistycyzacji czy ascetycznej wyobraźni. Należy tylko z obelonek legendowych, z typowych ich zwrotów, dodatków i upiększeń, prawdę ową wyluskać.

Tak n. p. nabierają w żywotach świętych stale najwyklesze szczegóły, rzeczy przypadkowe całkiem, rysów znamienych; one przepowiadają, prorokują czy symbolizują z góry przyszłe przeznaczenie, losy, walki świętego. Albo to, nad czem on sam przez długie lata pracował, zjawia się w nich nagle z daru Boskiego, z łaski nań spływającej bezpośrednio, po modlitwach i postach; legenda, skracając niby zawód bohatera, dąży wprost do ostatecznych jego celów; zapomina bezwiednie czy umyślnie, niewie poprostu o długiej, mozolnej pracy i wytężeniu, o skrupulach i walkach, przeszkodach i pomocy, jakich święty doświadczał; palec Boży widzi w każdym kroku i czynie. Odwrotnie tych, którzy może w imię bardzo ważnych i słusznych interesów, zagrożonych tą pracą — świętemu przeszkadzają, wszelkich przeciwników świętego i najumądzejszych i najsprawiedliwszych choćby, wystawia legenda jako narzędzia ślepe wroga ludzkiego: to światłość Boska występuje do walki z mroczną, zawistną potęgą szatańską; między Bogiem a diabłem waha się coraz bieg legendy. Dalej ściiera ona wszelkie czysto ludzkie, osobiste, doczesne wpływy, namiętności, porywy: jedno nieprzerwane służenie idei, dobru, niebu, jedno nieprzerwane zwycięstwo nad pokusami i pożądliwościami, nad zawiścią i oszczerstwem, strachem a choćby i mękami samymi — oto los jej bohaterów, już za życia przeanielenych. Nakoniec legenda idealizuje, upiększa, powiększa znaczenie każdego kroku, spotkania, orzeczenia a choćby pomyślenia bohatera.

Ten sposób tworzenia, taka apoteoza właściwie, jest dla legend, z góry dla zbudowania czytających i słuchających przeznaczonych, nieodzowny. Ale legenda wychodzi z refektarzy, od obiadów i „kolacji” (nazwanych od odczytywania ustępów z pism podobnej treści), i staje się zarazem źródłem dziejowym, czasem jedynym świadectwem na długim przeciągu czasu i miejsca; nieraz bowiem, gdzie analityka urywa, zapelniają lukę jej częściowo legendy, np. św. Seweryna i innych. Co za ważne przyczynki źródłowe do dziejów zaginęłyby, gdybyśmy nie posiadali legend o św. Wojciechu, Szczepanie (węgierskim) i tylu a tylu innych. Oważem, żywoty świętych, wkraczając w dziedzinę potocznego życia, malując codzienny tryb świętego, odsłaniają szczegóły,

którychbyśmy naprzętno u kronikarzy i rocznikarzy szukali, gdyż dla nich właśnie te szczegóły, dla nas dziś najcenniejsze, wcale nie istnieją, one tylko o wojnach, głodach, morach i posuchach opowiadają.

Jako źródła dziejowe podlegają jednak żywoty świętych tej samej krytyce, co listy, dokumenty, zapiski i nie tykając strony ich hagiograficznej, uświęconej wiekami, stara się dziejopis wyczytać w nich ślady chwili, tendencje działaczy, walki polityczne czy religijne; surowy ich materiał oczyszcza on starannie, zanim dla mozaiki jego posłuży, wzorującej epokę i ludzi. Otóż w takiej myśli, z punktu widzenia dziejopisarskiego wyłącznie, zwrócę uwagę na legendy o Cyrylu i Metodym, nauczycielach słowiańskich, aby ich treść historyczną wyzyskać.

Oba Kościoły, katolicki i prawosławny, uznają i czczą braci soluńskich: oto jeszcze w lipcu r. 1903 katolicy czescy, chcąc niby zaprotestować przeciw zakładaniu pomnika Husowego w Pradze, urządzili pielgrzymkę do kościoła św. Metodego w Wielehradzie morawskim, duchowieństwo z arcybiskupem, szlachta, nawet właściciel domu, przy którym Hus niegdyś kazał. Tak żywą, acz wcale nie dawno jest cześć braci soluńskich i u katolików — o prawosławnych i ich cześć dla „pierwoswiatelei“ nie potrzebują wspominać; nie mogą się oni dosyć wydziwić i wychwalić idealności i „humanności“ braci soluńskiej, wmawiają w nich i dzieło ich przymioty niealychane, wywodzą od nich np. nawet dzieło Husa, wznawiające niby nie samarje nigdy tradycje Cyrylo-Methodowe; Cyrylo-Methodowe bractwo znane nam nawet z prześladowania, jakemu ono z Kostomarowem i innymi ukraińcami swego czasu w Kijowie uległo; z braci greckiej, ascetycznej, pełnej nietolerancji, obłudy i zawiści, zrobiono jakieś ideały ludzkości.

Nie o cześć kościelną, o pomniki hagiograficzne, o żywoty świętych nam dziś idzie. Nasz zamiar zupełnie odmienny; badamy obie legendy jako źródła dziejowe, co one nam jako pomniki historyczne o ludziach i wiekach opowiadają? A opowiadają one o bardzo wielu i bardzo cennych rzeczach. Gdyby nasi historycy np. uwzględniłi świadectwa tych legend, i kwestya Piastowska i kwestya pierwotnego ustroju polskiego podlegały nieco odmiennym zapatrywaniom, zarysowałyby się może inaczej.

Bo zważmy przedewszystkiem, że to jedyne bezpośrednie pomniki zamierzchłej przeszłości słowiańskiej, sięgające wstecz do połowy dziewiątego wieku, t. j. kiedy w Polsce podaniowej Siemowit rządził, Rościsław na Morawie a Borys (jeszcze nie Michał) w Przesławie bułgarskiej państwa formowali, kiedy na Rusi Polanie, Drzewianie i wszystkie inne szczepy dań Waregom lub Chozarom składali. Kroniki

polskie, czeskie, ruskie zaczynają się (t. j. ich spisywanie) dopiero w dwieście pięćdziesiąt lat później; tylko niemieckie i greckie źródła (rocznikarskie) o barbarzyńcach — Słowianach z wstrętem, wzdargą lub obojętnością pokrótce, mimochodem wówczas wspominają; jedyny episkopat niemiecki w broszurach i pamfletach politycznych i literat z musu na tronie greckim (Konstanty w purpurze zrodzony) szerzej rzeczy słowiańskie omawiają.

Na czas takiej zupełnej posuchy dziejowej, na czas samych drobnych zapisek rocznikarskich, wzmianek przygodnych, przypadają właśnie obie legendy o braci soluńskiej i stąd niezmierna ich doniosłość; dla dziejów słowiańskich pierwotnych, kształtujących się ostatecznie właśnie w tych czasach. Lecz mimo takiego ich znaczenia nie rozpatrzone tych legend dotąd należycie, krytycznie, historycznie; około półtoratysiąca dzieł, rozpraw i szkiców w wszystkich językach europejskich im poświęcono: pisali o nich jezuita francuscy i cztery prawosławni, hersztowie starokatolicyzmu i pralaci papiescy, księża i laicy, pierwszorzędni historycy i sławiści i dyletanci wszelkiego antamentu — a mimoto nie postąpiło wcale krytyczne zbadanie i ocenienie całej wartości i zawartości tych legend: sądy albo chwytne bardzo albo całkiem mylne albo tendencyjne i sfalszowane; prawdy dotąd nikt nie odsłonił.

II.

Powtórzmy dla lepszego zrozumienia najpierw w kilku słowach sam wątek legend. Posiadamy ich trzy: jedną, tak zwaną włoską (łacińską) o św. Cyrylu, o wydobyciu przezeń z morza zwłok papieża, św. Klemensa (następcy Piotrowego) w Chersonie, o przeprowadzeniu ich do Rzymu i dwie słowiańskie legendy, morawskie (najdowolniej i najmniej w świecie „panońskimi“ przezywane), jedną o żywocie Cyryla (młodszego z braci, zmarłego w Rzymie r. 869) a drugą o Methodym (starszym i znakomitszym, właściwym twórcy liturgii słowiańskiej, chociaż dotychczas rzecz odwrotnie przedstawiają; umarł r. 885 arcybiskupem morawskim). Dopelnia je poniekąd czwarta legenda, grecka, o Klemensie, biskupie bułgarskim: trzy języki, w których bracia działali, spłoty ów wieniec hagiograficzny nad ich skroniami.

Opowiadają zaś te legendy o znakomitym rodzie obu braci i to greckim; o przeznaczeniu ich do wielkich dostojęstw, czego jednak obaj unikają, wybierając żywot zakonniczy i czynność misyjną; dalej prawią one o trzech misjach Cyryla; pierwszą w świecie muzułmańskim odbywa on sam; drugą, między Chozarami nad Wolgą i morzem Kaspijskiem, razem z bratem; również i trzecią, na Morawie.

Z Morawy idą obaj do Rzymu, tu umiera Konstanty (przed śmiercią imię Cyryla, pod którym go czcimy, przybrawszy) a Metody wyświęcony przez papieża idzie najpierw do Panonii a potem (wydobyty za pośrednictwem energicznym Jana VIII z więzienia niemieckiego) do Morawy, gdzie do końca życia działa, oddalając się tylko czasowo do Rzymu i Carogrodu; na Morawie dokończył żywota, oznaczając ucznia swego, Morawiawina Gorazda (t. j. mądrego, zdolnego), swoim następcą. Legenda grecka o Klemensie dopowiada krótkie już dzieje liturgii słowiańskiej na ziemi morawskiej, wygnanie Metodjan, uczeni św. Metodego, z Gorazdem i Klemensem na czele, z ziemi morawskiej; przyjęcie ich łaskawe na ziemi bułgarskiej.

Oto cała treść legend; gdzież tu miejsce dla sporów i nieporozumień — wszystko przecież tak zrozumiałe i jasne!

Ale pozory ludzą i niema w dziejach drugiej zawilszej kwestyi jak właśnie kwestya powstania liturgii słowiańskiej i słusznego ocenienia pracy braci solufskich i jej szczegółów. W głównych rysach zgadzają się badacze niemal wszyscy, chociaż każdy z nich rzecz samą inaczej oświetla: znakomity jezuita francuski, Lapôtre i rosyjski, ka. Martynow; największy historyk (protestant) dziejów kościelnych średniowiecznych, Hauck, profesor lipski, najdzielniejszy znawca dziejów niemieckich IX wieku, Dümmler (zmarły sześć lat temu); pierwszorzędni sławieści, Miklosicz i Jagicz, Srezniewskij i Łamanskij, niemówiąc o niezliczonej rzeszy ich uczeni; rosyjscy historycy kościelni, Gołubinskij, Gołubiew i Woronow — oni wszyscy, w szczegółach niezgodni, w całości jeden drugiego powtarza — i wszyscy się mylą, nawet najznakomitsi historycy, przyjmując bez krytyki wiadomości, podawane przez nasze legendy, z błędów w błędy wpadając jak zahypnotyzowani, jakby zmysłu krytycznego pozbawieni. Jeżeli Oksenstierna twierdził, że ani przypuszczają ludzie, jak mało rozumu potrzeba do rządzenia nimi, toć i dla pisania ich dziejów czasem się bez zbytnich obchodzimy wysiłków. I Homerowi trafiało się coś podobnego.

Przytoczę tylko jeden szczegół, na dowód, że jeden historyk drugiemu podsuwa i wmawia bajki, poczem się wszyscy w błędnem kole obracają, wyjęcia ani się domyślając, chociaż ono tak proste i łatwe.

Wierzyć się nie chce, żeby pierwszorzędni historycy wszelkich narodowości takie dziecinne, żakowskie popełniali błędy w najświętszej ufności, bez cienia wątpliwości.

Opowiada mianowicie legenda o św. Metodym, przy samym końcu jego żywota doczesnego, co następuje — tłumacząc jej brzmienie dosłownie:

„Gdy w okolicy naddunajskie król węgierski przyszedł, zapragnął on widzieć Metodego, a chociaż niektórzy powątpiewając mówili, że Metody rąk jego bezkarnie nie ujdzie, poszedł Metody do króla. Przyjął go król jak na panującego przystoi, zacnie i sławnie, z radością, i rozmówiwszy się z nim jak takim mężom rozmawiać się godzi, odpuścił Metodego z miłością i pocałowaniem, z dary znacznymi, rzekłszy mu: ojczyźnie zacny, w świętych modlitwach twoich zawsze mnie wspominaj“.

Tyle prawi legenda, nie nazywając, wedle stałego zwyczaju swego, owego „króla węgierskiego“ po imieniu. Cóż to za król? Powiedział Dümmler, a za nim wszyscy na wiarę powtarzają, że to jakiś władca węgierski, ochrzczony, gdy lud (a raczej horda jego) trwały jeszcze w pogaństwie, nad Dunaj się dostał i tam się ze św. Metodą chciał zobaczyć i jego modlitwom się polecić. Gorszej, głupszej plotki nie wymyśliłby i nasz Dębolecki, chociaż akademikiem berlińskim nie był ani najmniejszej powagi w świecie naukowym nie używał.

Któż bowiem byli wtedy ci Węgrzy, których „król“ cudem jakimś św. Metodego chciał poznać i jego modłom duszę swą polecać? Hordy barbarzyńskiej postaci małe, krępe, czarne; Tatarzy (albo ponieważ wtedy Tatarów nie znano, Awarowie t. j. obry, „olbrzymi“) z tatarskim sposobem życia i walki (szyli z luków, rozpięrczając się na wsze strony, oskrzydając wroga lub naprowadzając go zrecznie na ukryte zasadzki); pijący krew ludzką; zjadający serca swych ofiar (dla pomnożenia sił własnych, wedle ogólnego u wszystkich dzikich przesądu) i z ogoloną głową i jednym lub trzema „oseledcami“ na skroniach (koafiura to tatarska a później i molojców kozackich); przerażający chrześcijan do szpiku kości samym swoim wściekłym okrzykiem „hui“ — jednym słowem potwory tak straszne, że przerażona ludność europejska uznała w nich niebawem jeden z owych dwudziestu narodów, Gogów i Magogów, które przezorny Aleksander Wielki pozamykał za Kaspjjskimi wrotami na skały i wrzeczadze żelazne, a którym niebaczni Grekowie (posiłkując się nimi przeciw groźnym sąsiadom, Bułgarom) wrota otworzyli i wściekłych tych psów i wilków wyjących na Europę spuścili. Otóż ci to Węgrzy za żywota Metodego nad Dunajem ledwo raz czy dwa razy na chwilkę się ukazali — jeszcze nie użył był cesarz Arnulf tego bicia bożego na swoich groźnych sąsiadów, Morawian — i „króla“ żadnego wtedy nie mieli, nie zjednoczeni jeszcze, tym mniej chrześcijańskiego: o takim cudzie i świat nie słyszał, a wymyślił go bez zajknięcia Dümmler i wszyscy ślepo za panią matką głupstwo powtarzają.

Herszta zbójcekiej szajki węgierskiej nigdyby żywociarz św. Metodego „królem“ nie nazwał; bardzo on bowiem oględny w szafowaniu

przydomekmi: Świętopelka i Rościława n. p., własnych panujących, potężnych, chrześcijańskich władców — nigdy on inaczej nie nazwał niż „księciami” — i onże miałby opryska pogańskiego — boć nie było jeszcze żadnego chrześcijanina Węgra! — „królem” nazywać! Królem u niego jest zawsze tylko panujący nad Niemcami; cesarzem u niego, zawsze tylko grecki! Z tego wynika, że w opowiadaniu owem o spotkaniu się naddunajskim „król węgierski” jest królem niemieckim (Grecy nigdy nie uznawali „cesarstwa” rzymskiego; był tylko jeden „bazileus” na świecie t. j. carogrodzki, następcą Konstantyna Wielkiego, koronowany w szaty, spadłe z nieba samego, boskie: samo włożenie korony rękami nie patryarszemi krąły mściwe niebios). Nonsens „węgierski” (zamiast „bawarski”, lecz raczej niczego tu nie było, sam termin „król”, gdyż nie było na świecie wtedy innego prócz niemieckiego, wystarczał tak tu, jak na innym miejscu zupełnie) wkraść się przez pomyłkę; może późniejszy kopista elysząc o okolicach „naddunajskich”, dorozumiał się z własnej móżgownicy węgierskiego i go dopisał. Można nawet oznaczyć, któryż to „król” niemiecki i kiedy, przybywszy nad Dunaj, chciał się z Metodym widzieć. Był to prawdopodobnie król Karlman („królem bawarskim” wtedy powszechnie nazywany, syn Ludwika niemieckiego, ojciec Arnulfa cesarza). Komitywa Karlmana i Arnulfa z Świętopelkiem morawskim była wtedy bardzo ścisła, przecież nazwał Arnulf swego własnego syna Świętopelkiem i panował potem ten Świętopelk nad Lotarynią. Właśnie w roku 877, gdy się król Karlman do wyprawy włoskiej, po koronę cesarską, przeciw Karolowi Łysemu, francuskiemu, gotował, bawił on w wschodnich okolicach swego państwa, wziął od Świętopelka morawskiego posiłki, jak i później Czesi na polach włoskich walczyli; wyraźnie bowiem donoszą źródła społeczne, że pociągnął on do Włoch nie tylko z swymi Niemcami, ale i z Słowianami — wyręczano się wtedy chętnie nawzajem, róty niemieckie miewał i Świętopelk w swej służbie. Wtedy to mógł on zapragnąć widzieć się z Metodym, o którym w Niemczech, jako o groźnym przeciwniku niemieckich i rzymskich wpływów i widoków, tyle się nasłuchiwał i wezwał go do siebie, gdy się nad Dunaj przybliżył. Odradzali przyjaciele Metodemu podróży; obawiali się, czy nie gotują Niemcy powtórnej niespodzianki świętemu, jak w r. 871, gdy go uwieźli i uwieźli, lecz Metody udał się do króla i znalazł godne przyjęcie i rozmawiał z nim o rzeczach ważnych na ziemi i niebie (więc nie z Węgrem jakimś, co tylko po wilczemu wyc umiał — takich Metody widywał, podczas podróży do ziemi chozarskiej, gdy ich napadli niespodzianie Węgrzy, „wyjąc po wilczemu” i zabić chcieli jego i brata Cyryla). I odpuścił

go król z czią wszelką i polecił się jego modłom, jak na chrześcijańskiego króla, nie na pogańskiego opryszka — przystało. Ale mniejsza oto, czy oznaczyłem słusznie rok i osobę, 877 i Karlmana — możnaby i o innym czasie i królu, n. p. Arnulfie pomyśleć — nie może być tylko żadnej wątpliwości co do tego, że „król“ monarchę chrześcijańskiego, t. j. niemieckiego, nie jakiegoś fantastycznego lotrzyka węgierskiego oznacza.

Skorośmy trafnie uznali, kogoto żywociarz Metodego „królem“ nazywa, nie możemy również wątpić, kogo on w jednym z poprzednich ustępów legendy „królem“ oznaczył. Opowiada on mianowicie, że „stary wróg, zairzący dobru, przeciwnik prawdzie (djabeł), wzruszył serce „króla“ przeciw [Metodemu, wraz z wszystkimi biskupami (t. j. niemieckimi, twierdzącymi), że uczysz na naszej ziemi. Metody temu zaprzecza: ziemia, na której uczę, jest Piotra świętego, nie wasza, wy łakomcy.

I toczy się zawzięty spór między nim a biskupami Niemcami, ale nie mogli go przeprzeć, aż „król“ patrząc z podelba powiedział: nie utrudzajcie mego Metodego, bo spocłł się już, jak przy piecu — na co Metody odrzekł: ej, władco, gdy raz ludzie ujrzeni filozofa spocznego i zapytali go, co się pocisz, rzecze on: jesiarałem się z grubą czeredą. Cóż to za „król“? twierdzą, że to Świętopelk morawski — ależ i to nonsens widoczny, nigdy żywociarz o żadnym królu czy królestwie morawskim nie wspominał, zna on tylko książąt i księstwa morawskie — król jest Ludwik Niemiecki, który r. 871 w Regensburgu w licznym zebraniu biskupów niemieckich Metodego o uzurpację ziemi panońskiej, t. j. dyecezyi solnogradzkiej, sądownie badał. Lecz tu już inni przedemną widocznej prawdy się domyślili i nieraz ją wypowiedali, zawsze na opornych trafając; wszelki spór i tu niemożliwy; argumenty przeciwne, dowodzące, że to Świętopelk tym królem, takie dziecinne, że aż wstyd bierze „spierać się z grubą czeredą“; jeszcze najnowszy badacz tych dziejów, prof. Pastrnek, starą piosnkę powtarza i swemu ziomkowi, Świętopelkowi, Metodego sądzić każe.

Oba fakty wystąpienia Metodego przed „królem“ bardzo ciekawe; dają nam bowiem miarę, jakie wrażenie czcigodna postać Greka-ascety nawet na najgorzej usposobionych i uprzedzonych wywierała: siła, bijąca od jego osobistości, musiała być potężna, ulegaliż jej i papieże (Jan VIII) i króle (Ludwik Niemiecki i Karlman czy Arnulf), tem bardziej książęta słowiańscy, Roście i Świętopelk morawski a Kocel panoński. Napróżno też usiłują zmniejszyć znaczenie rzutkiego Metodego wobec brata młodszego, Cyryla, ascety świętobliwego, nie działacza energicznego.

Ale oba fakty pouczają nas jeszcze o czem innym: o nadzwyczajnym krótkowidztwie dziejopisarzy; zahypnotyzowani wyrazem legendy „król węgierski“, nie śmieli się nawet dobadywać ani wątpić i nie mogli dojść do prawdy widocznej i jasnej, jak na dłoni. Mamy więc słuszną przyczynę, powątpiewać i o innych wynikach ich badań, uważać ich za uprzedzonych, podejrzawać ich o brak krytyki i ścisłości.

III.

Rzeczywiście, przy ocenie historycznej legend morawskich zapomniano zupełnie, czy nie zauważono wcale rzeczy najważniejszej, jedynej, rzucającej prawdziwe światło na legendy.

Legendy te nie są bowiem tylko pomnikami hagiograficznymi, nie dają tylko naiwnego, bogobożnego, szczerego obrazu żywota świętych pańskich; są one zarazem najwymowniejszą obroną, apologią czynu braci soluńskich, liturgii słowiańskiej.

Wiemy, czem jest obrządek słowiański: dorobkiem umysłowym dawnych wieków, po ojcach i praojcach, wypełniającym całe tysiącolecie duchowych dziejów słowiańskich. Miały w nim wzięć udział wszystkie ludy słowiańskie; od wieków pozostał on jednak wyłącznie niemal przy prawosławnych — więcej niż sto milionów Słowian prawosławnych dziś do niego należy; z katolickich tylko od wieków, garstka chorwackich „głagolaszy“ na wybrzeżu i wyspach adryatyckich i od unii brzeskiej, miliony ludu małopolskiego przytym obrządku wytrwały. Niegdyś panował on nawet u Rumunów prawosławnych, a jeszcze dawniej i u Słowian zachodnich, na Morawie, między Słowiańcami nad jeziorem błotnem, a przedostał się i do Czech sąsiednich. Nawala węgierskich „Obrów“ wygłuzowała go z pomiędzy Słowiańców i z Morawy, pustosząc doszczętnie te kraje, tak że ślady ludności nie ocalały; w Czechach przetrwał obrządek słowiańskorzymski w wyraźnych, acz skąpych śladach aż do końca jedenastego wieku: jeszcze pierwszy król czeski, Wrociśław, udawał się do Grzegorza VII z prośbą o wznowienie i rozgrzeszenie, ale trafił na tak stanowcze *non possumus*, na taki wyraźny zakaz, że nikt więcej po nim prób takich nie ponawiał. Dopiero Karol IV, romantyk na tronie, rozkochany w dźwiękach słowiańskich, wprowadził do Pragi czarnych benedyktynów — głagolaszy, chorwackich, mnichów „Słowian“, ale sztuczne to wznowienie żywszego skutku nie miało, choć i do Krakowa Jagiello osadę tych mnichów przeszczerpił; nawala husycka zatopila ich ślady.

A u nas? czy obrządek słowiański dostał się i do Polski? „Adhuc sub iudice lis est“ — jeszcze na łamach Biblioteki Warszawskiej w pier-

wszycy latach jej istnienia, w r. 1841 i 1842, rozegrała się polemika między W. A. Maciejowakim, zakreślającym szerokie granice temu obrządkowi w Polsce piastowskiej, i I. L. Rychterem, przeczącym temu; polemika, wtedy rozpoczęta, chociaż z licznymi i długotrwałymi przerwami, właściwie jeszcze nie ukończona, nie rozstrzygnięta ostatecznie. Zabierali w niej głos i sędziwy Malecki i znakomite studium prof. Abrahama (Organizacja kościoła w Polsce do połowy wieku XII) i śmiało hipotezy nieodżałowanego Gumpłowicza (w pracach niemieckich n. p. „Der Kampf des slavischen und lateinischen Ritus in Polen 1104—1124“ i i.), świeżo streścił jej wyniki mecenas Parczewski (w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego r. 1902) i osłabił albo zniszczył argumenty przemawiające za istnieniem obrządku słowiańskiego w Polsce — ale nie zawsze do przekonania nam trafił, mianowicie pozostaje zagadkowym ów wiersz w t. zw. Gallu: „żgon Chrobrego oplakujcie ze mną wszyscy... ilu was mieszkańców Łacinników i Słowian“ — antyteza ta znaczy nierównie więcej niż „obcych (cudzoziemców) i Polaków“, jak prof. Abraham i p. Parczewski sądzą; również świadectwo listu Matyldy do Mieszki II wątpliwości nasuwa; toż legenda o czerstcu Mojżeszcu.

Obrządek słowiański ma a raczej miał jeszcze i inne olbrzymie znaczenie: łączył on narody słowiańskie nie tylko religijnie, ale i kulturalnie, skoroż kultura słowiańska, szczególniejszej wschodniej, z religijną się w jedno zlewała. Prawią i dziś jeszcze o rzeczy, zupełnie zresztą zbytecznej, jakby to ładnie i korzystnie było, gdyby Słowianie jeden spólny język piśmienny uznali i go używali, chociaż nie śni się n. p. Holendrom-Flamandczykom, Duńczykom, Szwedom, o wytworzeniu pangermańskiego języka; również Portugalczycy, Hiszpani i t. d. o żadnym panromańskim języku ani marzą, więc i pansłowiańskim tylko głowy próżnujące zawracać można. Ale istniał niegdyś rzeczywiście język pansłowiański; język cerkiewny był nim dla Bułgarów, Rusi, Serbów przez długie wieki, jeden język, chociaż nie zawsze jednolicie wymawiany: tem bardziej przestrzegano niegdyś jego jednolitości pisemnej i dopiero od końca XVIII wieku (jeżeli pominiemy reformę Piotra Wielkiego w Rosyi a próby „Damaskinów“ bułgarskich jeszcze wcześniejsze, t. j. zbiorów homiletycznych pisanych w języku ludowym, zrozumiałym) zaczynają się języki wschodnio- i południowsłowiańskie coraz silniej emancypować od wpływów cerkiewszczyzny, rzucają więzy jej wysłowienia i składni, jej pisowni nawet, n. p. serbska całkiem się od cerkiewnej odstrychnęła, której się ruska i bułgarska dotąd na swoje nieśczęście czy utrapienie trzymają. Ale do końca XVIII wieku Serb czy Bułgar a nawet franciszkan bosnijski czytali i pisali tą cer-

kiewszczyzną, która i w Rosyi dla literatury duchownej, przekładu pisma św., w obrządkowych modlitwach do dziś obowiązuje. Tak więc stworzyli bracia soluńscy język pansłowiański; wyszli oni od narzecza soluńskiego, w które się od wczesnej młodości Grecy ci byli wsluchali; z tym narzeczem soluńskim przeszli do Słowian, mówiących innymi narzeczeniami, lecz nie poświęcili oni ani joty swego narzecza na korzyść morawskiego, wstrzymwała ich od tego widocznie uwaga, że końca by nie było, gdyby wszelkie różnice słowiańskie, polskie, ruskie, serbskie i t. d. uwzględniać chcieli. W ten sposób uniknęli zarzutu, który jeszcze w wieku XVI kardynał Hozjusz przeciw wprowadzaniu języków słowiańskich do pisma św., do modlitw kościelnych i t. d. formułował: pytał on przecież, toć dla każdego narzecza trzeba by osobnych przekładów? któż tego dokona, któż to skontroluje? Przeciwnik jego, protestant włosko-słowiański Wergeriusz, uznawał wagę tego zarzutu i proponował utworzenie dla przekładów takich osobnego, mieszanego języka słowiańskiego, nie wiedząc, że taki ogólny język dawno już istniał, poświęcony wiekami, przyjęty z Bułgarij między Serbów i Ruś.

A więc obrządek słowiański, to nie tylko łącznia religijna Słowian, ale i podpora najważniejsza języka pansłowiańskiego. Cóż za dziw więc, że wobec olbrzymiejącego z dnia na dzień znaczenia Słowian, wobec strasznej ich już dziś siły liczebnej, dzieje tego obrządku, powstanie jego, mają znaczenie ogólnoludzkie, a choćby tylko europejskie; to nie kwestya partykularna, interesująca wyłącznie Słowian; to zagadnienie, nad którego rozwiązaniem pracują uczeni niemieccy i francuscy, niemniej jak słowiańscy.

Źródłem ich, oprócz kilku listów papieskich i wzmianek polemicznych niemieckich, są właśnie legendy morawskie. Ale źródło to zmacone, bo samo najwymowniejszą spologią obrządku słowiańskiego się staje, nie zadowala się naiwnem opowiadaniem przebiegu faktycznego.

Wnosił przecież Metody z liturgią słowiańską nowinę do kościoła, greckiego zarówno jak rzymskiego; nie byłoż przed nim nigdy tej liturgii i nowinę tę należało uzasadnić, usprawiedliwić, obronić, wymóżyć uznanie — u obu kościołów, nie rozszepionych wtedy jeszcze ostatecznie. A właśnie przeciw wszelkim nowinkom, choćby najniebezpieczniejszym, wiek dziewiąty szczególnie u Greków stał na czujnej straży; przecież główne zarzuty, jakie z Carogrodu przeciw Rzymowi kierowano, dotyczyły właśnie wprowadzania nowinek, ustanawiania postów (sobotnich i suchodniowych), wprowadzania do symbolu dodatkowego „filioque“ (o pochodzeniu Ducha św.) i t. d.: więc jeżeli nie aprobował Carogród nowinek, ze strony upoważnionej, wprowadzanych; jak mógł się on godzić z nowinką Metodego, prostego igumena, nie

mającego nawet święceń kapłańskich, a podejmującego dzieło wielkie, o którym ani kanony, ani ojcowie święci, ani sobory niczego nie ustanowiły, które wszystkich swą niezwykłością, nowością razić musiało. Wiedzianoż w Carogrodzie, że Słowianie — miano ich przecież po całym cesarstwie, aż w małej Azji i na wyspach nawet, podostatkiem, zalali oni i zesławiańszczyli cały Balkan — nie mają żadnej literatury, żadnego pisma i słusznie zarzucano Metodemu: będzieszże na wodzie pisał słowa święte i chcesz imię kacerza nabyć? Były wprawdzie w kościele wschodnim liczne szczepy z osobnym obrządkiem, Kopci w Egipcie, Syryjczycy itd., ale u tych sięgał język obrządkowy samych początków chrześcijaństwa, drugiego i trzeciego wieku, a jeśli bywał, jak u Gotów, Ormian lub Persów, i późniejszy, to kraje te wcale wpływowi greckim nie podlegały. Tymczasem liczni Słowianie byli poddaniymi greckimi choćby tylko z imienia i nie zrzekała się Grecya nigdy zamiaru, Myzów (Bułgarów), Triballów (Serbów) i jak ta maskarada klasyczna dalej brzmiała, gruntownie ujarzmić — więc dla poddanych własnych pod progami Carogrodu i Solunia, tworzyć osobny obrządek, pismo i język — nie miałooby to trącić jawną herezyą? wyzywać najsurowsze represalie?

Jeszcze bezwzględniej musiał Rzym tę nowinkę potępiać. On w łonie swoim nieznał i dla najdalszych szczepów nawet, celtyckich czy germańskich, żadnego innego języka kościelnego, prócz łaciny — więc jakżeż mógłby się godzić, ni stąd ni z owąd, na obrządek słowiański i tym samym z kosmopolitycznego ustroju kościelnego Słowian dla czyjegós widzimisię wyłączać? Rzym, nie czyniący ustępstw dla Celtów czy Germanów, i Słowian inaczej nie mógł traktować, jeśli nie chciał się własnym zasadom sprzeniewierzyć. I nigdy nas nie zdziwi, że Rzym od roku 885 raz na zawsze obrządku słowiańskiego zabronił; że dziś jeszcze Leon XIII wahał się, czy dopuścić szerzenia obrządku glagolasz chorwackich, czego wymagają niektórzy młodzi kapłani-narodowcy i gminy miejskie; nas musi raczej dziwić, jakim sposobem Jan VIII obrządku słowiańskiego mógł dozwolić?

Trafiało więc dzieło Metodego, obrządek słowiański, na ostre szkopy: i od własnego, greckiego, i od przybranego, rzymskiego, Kościoła groziły mu najsurowsze kary, a z nich najstraszliwsza, zarzut kacerstwa, sztych nieodbity. Więc by ująć tym gromom, należało całe dzieło przedstawić w osobliwym świetle: pozbawić je wszelkiej inlecyatywy osobistej — nie bracia wywołali czy dokonali dzieła, Bóg sam je stworzył; On to Morawian ową myślą, posyłaniem do Carogrodu po nauczycieli, natchnął; z Jego łaski Cyryl i Metody aprobatę oficjalną cesarza (t. j. greckiego, zastępującego już i patriarchy)

i „apostolika“, papieża, którego żaden mocarz świata zastąpić nie mógł, otrzymali; należało dalej wystawić, aby usunąć wszelkie wątpliwości wrogów i podejrzliwców, właśnie tego, co słowiańskie pismo wynalazł, jako najgorliwszego, najskuteczniejszego obrońcę wiary „katolickiej“ przeciw głównym jej wrogom, żydom i muzułmanom (Agaryanom). Cudami opromieniono postać Cyrylową; darem proroczym Metodyuszową — tak powstały legendy, opowiadające nie tylko żywoty braci, lecz broniące wymownie prawowitości obrządku słowiańskiego, uznanego przez Rzym uroczystie, wysławionego przez Carogród, jako nadzwyczajny dar łaski Bożej.

IV.

Gdy się legendom morawskim dokładnie przypatrujemy, widzimy jak je systematycznie, wedle mądrze obmyślanego szematu, zbudowano, jak się ciągle jeden i ten sam układ w nich powtarza.

„Filozof“ (t. j. Konstanty-Cyryl, dla nauki tak nazwany) ma lat dwadzieścia cztery — Agaryanie wyzywają Carogród na dysputę o Trójcy św.: posłżcie nam mężów, coby mogli nas w tem przeprzeć cesarz i sobór wybierają Cyryla, oświadczającego natychmiast gotowość swą; następuje podróż, dysputa zwycięska, powrót.

Mijają lata, filozof żyje samotny lub w klasztorze z Metodym; posyłają Chozarowie do cesarza: posłż nam męża, któryby przeparał żydów i saracenów, abyśmy wiedzieli, jakiej się wiary sami jąc mamy. Cesarz wybiera Cyryla; ten oświadcza natychmiast swą gotowość; następuje podróż, dysputa zwycięska, powrót.

Mijają lata; filozof żyje samotny; przysyłają Morawianie do cesarza, posłż nam nauczyciela, języka naszego, któryby nam prawdę wiary wyłożył. Cesarz wybiera filozofa, oświadczającego się natychmiast z gotowością swą; wyrusza w drogę, wykonywa misję, lecz wracając na Rzym tamże umiera.

Trzebaby być ślepym, żeby nie widzieć, jak wszystkie epizody ułożone wedle jednego szablonu; nawet wyrazy prośb, motywów itd. bywają takie same, czegośmy tu nie chcieli przeprowadzać. Inny szablon panuje w żywocie Metodego. Tam znowu każdy pragnie go widzieć w zawody: papież Mikołaj, król „węgierski“, cesarz z patriarchą; każdy uradowany jego przybyciem, zawodzi oczekiwania wrogów, pewnych, że potępienie Metodego usłyszą, a on miasto tego uroczystą aprobatę dzieła swego zyskuje. Tylko legenda włoska odmienna, przeznaczona dla Rzymu, może ją Gorazd wedle zlecenia Metodego ułożył, o głównym dziele Cyryla jak najpobieżniej się wyraża, bojąc się widocznie zatrzymywać nad rzeczą, w Rzymie

